Lotnisko Ben Gurion

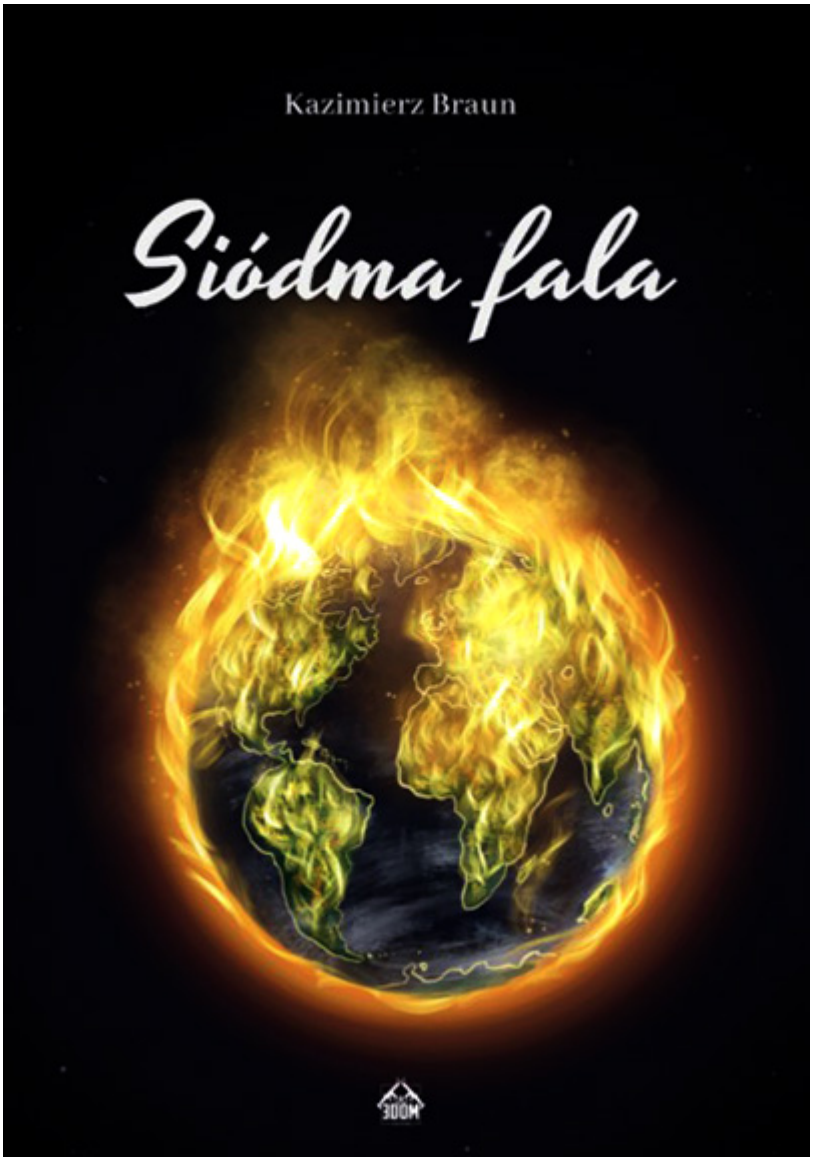

Siódma fala to powieść współczesna, której akcja dzieje się w latach dwudziestych XXI w., tuż po wygaśnięciu kolejnej fali globalnej „pandemii". Polski poeta udaje się do Ziemi Świętej na pielgrzymkę, którą zakłóca spotkanie ze znajomą sprzed lat. A „pandemia" wróciła...

Kazimierz Braun jest reżyserem, pisarzem i uczonym. Prowadził teatry i reżyserował w Polsce; reżyserował również w Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Kanadzie, Niemczech i innych krajach. Opublikował ponad 50 książek – prac naukowych, powieści, dramatów, poezji – w kilku językach. Wykładał na uniwersytetach i prowadził warsztaty dla reżyserów w Polsce, USA, Irlandii, Wielkiej Brytanii.

ISBN 978-83-67142-26-7

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

Izrael, fot. pixabay

Fragment powieści „Siódma fala”

[redacted]

[redacted]

(…)

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

(…)

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

(…)

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

(…)

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

„Powrót Paderewskiego” Kazimierza Brauna

[redacted]r [redacted]

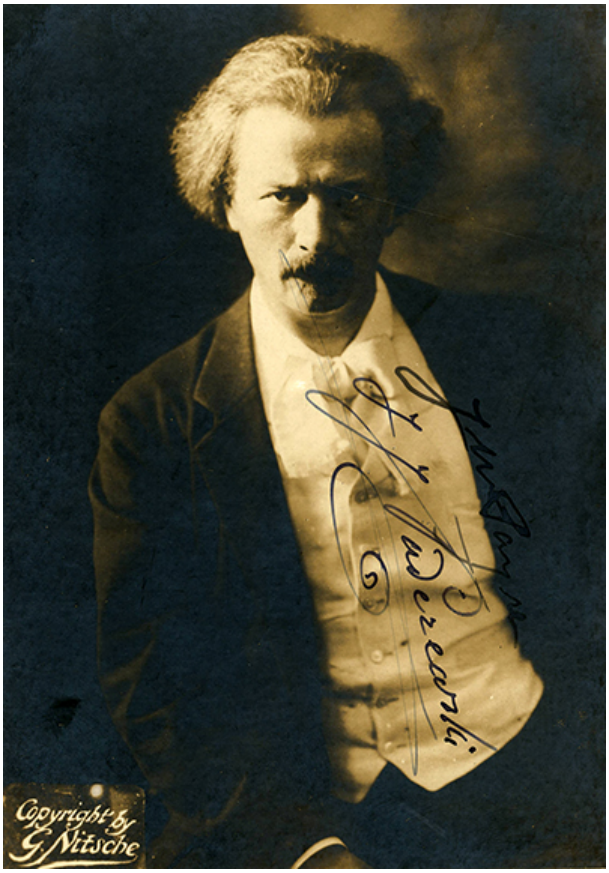

Ignacy Jan Paderewski, 1909 r., fot. G. Nitsche, University of Washington, źródło: wikimedia commons

Co to jest Ojczyzna?-

odpowiedziałby:

„Jest to miejsce,

w którym najmilej spocząć i umrzeć –

kiedy się ma gotowość nieustanną życia

i utrudzania się tam,

gdzie w każdym czasie danym

najdzielniej o Ludzkość idzie”.

[…]

Wszyscy dziadowie

i

Ojcowie Rzeczpospolitej Polskiej

*tak pojmowali sprawę polską**[1]***

[redacted]

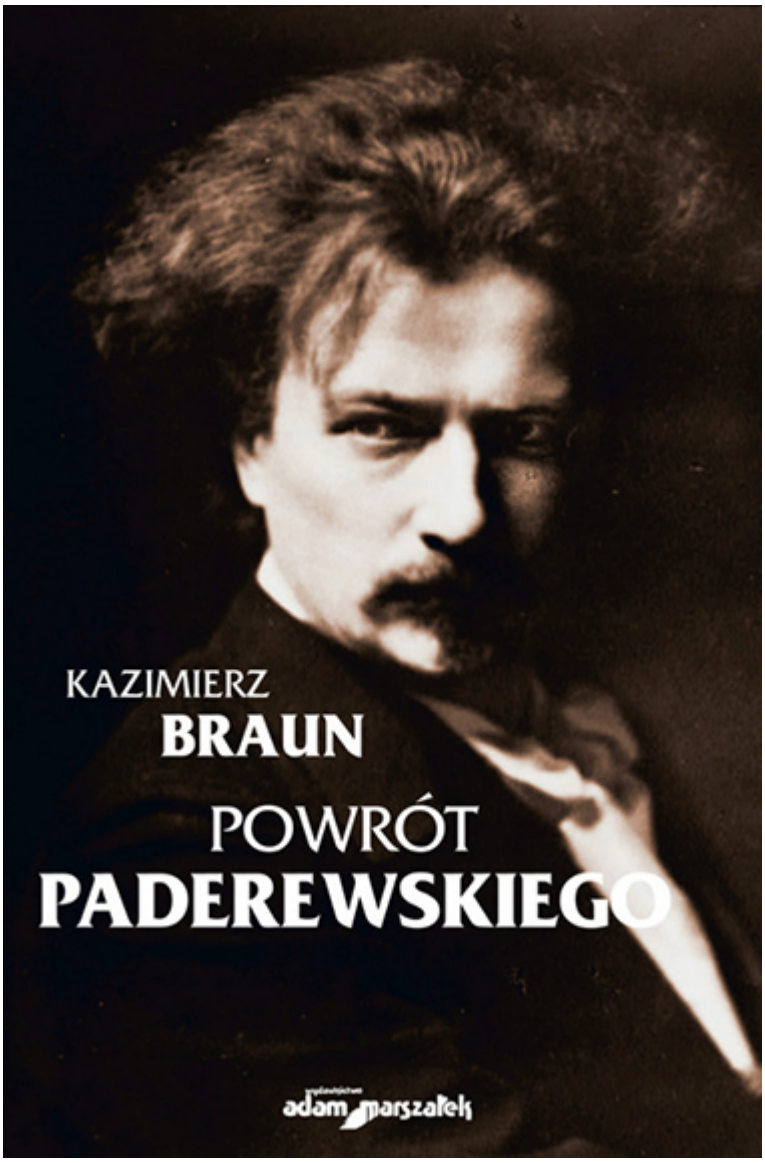

[5]

[redacted]

[redacted]

Fortepian Ignacego Jana Paderewskiego w Ambasadzie RP w Waszyngtonie, źródło: wikimedia commons

[redacted]

„Menuet” wybucha na chwilę serią eksplozji muzycznych fajerwerków, to istna kanonada, lecą jeden za drugim świetlne pociski i wybuchają gdzieś na niebotycznej wysokości. Zaraz potem jednak muzyczna narracja wraca do szeptu, zawiesza w powietrzu jakieś pytania, odpowiada, przetwarzając te pytania, a więc

nie odpowiadając. W części środkowej „Menuet” przechodzi w postchopinowski wręcz mazurek. Echa Chopina budzą echa polskiego, wiejskiego krajobrazu wczesną jesienią, otulonego w tajemniczy smutek, to tu, to tam przetykanego promieniami zachodzącego słońca. Krajobraz wiejski zda się powiększać, obejmuje salę balową w jakimś pałacu, gdzie wirują tańczące pary i ich cienie. Głośny śpiew przemienia się znów w muzyczny szept, powracają echa niedopowiedzianych pytań, niewyznanych zwierzeń. Pozostaje uczucie uczestnictwa w tajemniczym rytuale piękna, ku któremu można spojrzeć jak przez wpółuchylone drzwi, podnieś oczy, by polecieć gdzieś na wypiętrzających się chmurach a z nich zstąpić na skrzącą diamentami rosy poranną łąkę…[9].

Inspiracje muzyką Fryderyka Chopina skłaniały Paderewskiego do jeszcze głębszej refleksji nad sprawami Ojczyzny, świata, historii, kultury i sztuki polskiej. Rozumieć muzykę Mistrzów to odkryć całe bogactwo duchowych doświadczeń, które są w niej zawarte. W muzyce łączą się dwa ideały: doskonałość formy i wielkość ducha[10]. Wsłuchiwać się w dźwięki muzyki wielkich Artystów to z powagą i wielkim szacunkiem traktować sprawy narodowe.

(…) właśnie pojawienie się Paderewskiego – postaci tak wybitnej, znanej, charyzmatycznej – na politycznej scenie Polonii amerykańskiej, Ameryki, Polski i świata stało się jednym z zasadniczych czynników, które przesądziły o zmartwychwstaniu Polski jako państwa niepodległego. Jego stałe dążenie do wartości wyższych poparte było nieprawdopodobną wręcz pracowitością. Jego artyzm harmonijnie łączył z wiedzą. Jego maniery, uwaga i szacunek dla każdego rozmówcy (posługiwał się siedmioma językami) pozwoliły mu komunikować się swobodnie zarówno ze zwolennikami, jak i przeciwnikami. Paderewski zogniskował wolę Polaków w kraju i na emigracji. (…) Opatrzność i Historia

znalazły w nim szczególnego pośrednika .

[redacted]

---

[1] [redacted]

[2] [redacted]

[3] [redacted]

[4] [redacted]

[5] [redacted]

[6] [redacted]

[7] [redacted]

[8] [redacted]

[9] [redacted]

[10] [redacted]

[11] [redacted]

[redacted]

[redacted]

Żywot Paderewskiego

„Dzieci Paderewskiego” – spektakl Kazimierza Brauna

Od marzeń do spełnienia

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

Danuta Błaszak, Fryzjerka 2 – Miodem płyną rzeki, NORBERTINUM, Lublin 2022, s. 200

[redacted]

Danuta Błaszak (Floryda, USA)

Danuta Błaszak

Z wykształcenia matematyk (teoria przestrzeni wielowymiarowych i nieskończoności), studia na Uniwersytecie Warszawskim. Również studia podyplomowe, dziennikarstwo (reportaż, dyplom u Krystyny Goldbergowej), a później pedagogika, Uniwersytet Warszawski. Valencia College, Major in English.

Formalny debiut poetycki w 1986 roku: wygrana w konkursie na udział w warsztatach literackich w Staromiejskim Domu Kultury; jednocześnie jej wiersze w tym samym roku zostały zaakceptowane przez tygodnik „Radar" (wyd. RSW Prasa-Książka-Ruch), gdzie zaczęła pisać regularnie krótkie recenzje oraz migawki z plenerów literackich. Jej pierwszy tomik z przedmową Adama Kowalskiego, redaktora „Radaru", nosił tytuł *Wiersze*. Kolejne tomiki wierszy to m.in.: *Tereska ze smutnego raju* (WKMS 1995); *Anegdoty liryczne* – tomik wydany przez NZS (Niezależny Związek Studencki, NURT, drugi obieg, 1989), *Kwiaty i wiersze* (DSP Publishing 2006), e-book *Brudnopis nowego tomiku,* (Orlando 2020), (Inowrocław 2020). Oprócz tego udział w antologiach i druk w prasie literackiej.

Tłumaczka literatury pięknej, pisarka, poetka, laureatka nagród, m.in. lubińskiego Amora oraz Ikara – statuetki Wojsk Lotniczych i Obrony Kraju, za poezję lotniczą. Nagrody im. Agnieszki Osieckiej za cykl wierszy *Alonuszka*. Autorka powieści: *Oboje zbyt wrażliwi, Marzenia moje,* (Lublin 2021), (Lublin 2022); zbioru opowiadań *Assignments for Professor Orsini*, (Valencia College, Dreammee Little City 2005) oraz książek reportażowych, m.in. *Seks przez telefon*, *Plotki z Florydy, Group Home Recollections* (Bianka B. Bird), *Notatnik z autyzmu* – o amerykańskim ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem, książka redagowana przez

Martę Berowską; *Mathematics vs. Poetry* – rozmowy z naukowcami o różnicach pomiędzy poezją a matematyką w postrzeganiu świata (Dreammee Little City 2005). Jednym z ważnych tematów reportażowych jest Pokolenie „Współczesności”: książka reportażowa *Wywiady – spotkać „Współczesność”* oraz artykuły i publikacje książkowe dotyczące Pokolenia „Współczesności” redagowane wspólnie z Anną Marią Mickiewicz.

Promuje polską literaturę, m.in. poprzez serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland* w języku angielskim, współredaktor: Anna Maria Mickiewicz, grafika: Agnieszka Herman (poetka i grafik), współpraca: Alicja Kuberska. Do udziału w książkach zapraszani są pisarze polskiego pochodzenia oraz wybitni poeci z całego świata. Razem z Anną Marią Mickiewicz opublikowała w tej serii książki: *Poeci zza oceanu* i (Londyn 2020).

Fryzjerka 2 – druga część powieści Danuty Błaszak

Fryzjerka 2 – druga część powieści Danuty Błaszak

[redacted] *(Tarnów)*

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

[redacted]

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” – fragment książki

Danuta Błaszak *(Floryda)*

Fot. Jill Wellington z Pixabay

13 listopada, środa. U mamy na Bielanach

Nie podejmuj pochopnych decyzji. Zadzwoń i powiedz przepraszam. Zerwiesz z panem Romualdem i jak sobie poradzisz? – mama Jolki była wyraźnie zdenerwowana. – Z czego zapłacisz rachunki?

– Dlaczego z nim zrywasz? – dociekała ciocia Roma. – Może to jeszcze da się naprawić.

Jolka Kuźmicka, 32-letnia wysoka blondynka, przyszła pomóc swojej mamie w porządkach. Ciemny blond ze złotymi pasemkami, profesjonalnie zrobiona fryzura. Jolka: wąskie biodra, drobne piersi, a z tyłu zaokrąglone pośladki. Dość duża miękka pupa, jakby trochę nie pasowała do tego, co z przodu.

Mieszkanie już lśniło czystością. Dwa małe pokoiki i znacznie większy salonik, w którym teraz kończyła sprzątanie. Pozostał jeszcze duży wełniany dywan w tureckie wzory. Mieszkanie umeblowane niekonsekwentnie, można powiedzieć, że z brakiem

gustu. Przy ścianach regały z książkami pochodzące jeszcze z czasów, kiedy ludzie chcieli mieć w domu książki. Grubo ciosane drewniane półki obok meblościanki „Kowalskiego”. Z sufitu opadał duży żyrandol z kryształowymi wisiorami, piękny, jak z dawnych królewskich pałaców. Szesnaście punktów oświetleniowych, małych żaróweczek, i mosiężne ramiona też lśniły czystością. Mieszkanie było dość wysokie jak na postkomunistyczne budownictwo, a projekt żyrandola był przygotowany na sale pałacowe i dziadek Jolki wiele lat temu musiał skrócić, a może odciąć, długi złoty łańcuch, który pierwotnie łączył żyrandol z sufitem.

Jolka włączyła odkurzacz.

W telewizji powtarzali reportaż z wiosennych pokazów lotniczych. Na dużym ekranie płaskim jak ściana kolorowe balony, samoloty ze smugami dymu, spadochroniarze trzymający się za ręce… Nikt tutaj tego nie oglądał. Matka lubiła, żeby telewizor był włączony i rzadko zmieniała kanały.

Nawet w tym hałasie, przy warkocie odkurzacza i głośnej muzyce dochodzącej z telewizora, słowa matki docierały do niej z przeraźliwą wyrazistością.

– Jak żył twój ojciec, wódka była na stole, nie pieniądze. Chciałabym, żebyś potrafiła docenić to, co robi dla nas pan Romuald – powiedziała mama.

To było za mocno powiedziane i ciocia Roma, która siedziała do tej pory cicho w fotelu, musiała zareagować.

– Stefa, ty na świętej pamięci Xawerego nie wygaduj takich rzeczy. Nie potrafił zarobić, i zawsze było u was krucho z pieniędzmi, ale pijakiem nigdy nie był.

– Przypomnij sobie, Romka, jego kolegów. Wymiotowali do naszej wanny. Jeszcze teraz emalia odchodzi w tych miejscach, gdzie próbowałam odkazić chlorem.

– To było okazyjnie – sprostowała ciocia. – Co innego niż być pijakiem. Pili okazyjnie, a wymiotowali tylko raz. Ten bimber, który załatwiła Kwieta, pochodził z niepewnego źródła.

– No tak – zgodziła się mama. – Bimber nie był z Łomianek, tylko z jakiegoś innego miejsca.

– I myśmy też wtedy chorowały – dodała ciocia. – Pamiętam, parzyłaś herbatkę miętową. Nawet ty piłaś, Stefa, chociaż bierzesz te swoje pigułki i lekarz mówi, że nie powinnaś.

Jolka pomyslała, że nigdy w życiu nie znała żadnej pani, kóra nazywała się Kwieta i załatwiała bimber, ale to może było dawno, jak jeszcze była dzieckiem. Nie zapytała, to nie było ważne.

Jolka bała się zostać bez pieniędzy i to wydawało się teraz najważniejsze. Jej „narzeczony", jak czasem mówiła mama, albo po prostu pan Romuald, umiał się zachować. Zawsze, kiedy odwiedzał Jolkę, gdy mieszkała razem z mamą, i potem też, kiedy już miała własne niespłacone mieszkanie, wyrażał zrozumienie dla ciężkiej sytuacji finansowej i zostawiał na stole kilka banknotów. Przy każdej jego wizycie obie rzucały spojrzenia niecierpliwe na ten róg stołu, gdzie, wiedziały, pojawią się pieniądze.

***

Skok spadochronowy z samolotu, tandem z obcym instruktorem

Jakub zostawił ją na lotnisku i pojechał do pracy. Trzeba dbać o kontrakty zagraniczne i te inne też, wiadomo, jeśli człowiek jest odpowiedzialny i rzetelnie wypełnia swoje obowiązki zawodowe.

Skok w tandemie. Jolka czekała na swoją kolej. Pomimo napięcia, które gdzieś tam w środku ją roznosiło, z jakiegoś niewiadomego powodu polubiła tę atmosferę na strefie, ludzie byli sympatyczni, wyluzowani – z wyjątkiem tych, co czekali na tandem..

– Po co mi ten tandem? A co jak spadochron się nie otworzy, co jak samolot się rozbije po starcie? Może będzie wiało i odwołają skoki?

Takie myśli chodziły jej po głowie.

Usłyszała jak ktoś wykrzykuje jej imię. To był jej instruktor. Podeszła bliżej, przyjrzała mu się dokładnie. – Więc to z nim przyjdzie mi umrzeć? Jak mam zginąć to przynajmniej w towarzystwie przystojniaka. Co ja wygaduję, nikt nie umrze, skup się,

słuchaj co on mówi!

Instrukcje, co robić w czasie lotu w tandemie były klarowne. Miała szczęście, jej instruktor miał poczucie humoru, to odgoniło jej negatywne myśli.

– Widzisz tę uprząż? Jest lepsza o tych, co niektórzy mają w sypialni. Mrugnął okiem. Natychmiast wyobraziła siebie i Jakuba, w duchu się uśmiechnęła.

Bała się, że w czasie lotu będzie czuła, że żołądek podchodzi do gardła, że spada…

– Będziesz się czuła, jakbyś leżała na miękkim materacu z powietrza – ktoś powiedział.

Samolot wznosił się w powietrze, odliczała minuty, miała wrażenie, że trwa to wieku.

– Wcale mi się nie śpieszy, tak sobie tu posiedzę, popatrzę przez okno…

Kamerzysta ustawiał kamerę. Pomyślała:

– Jak będzie wyglądał wymuszony uśmiech na przerażonej twarzy?

Nagle dźwięk silników, huk powietrza przerwał zadumę, ktoś otworzył drzwi od samolotu. Zobaczyła samodzielnych skoczków, jak z radością opuszczają samolot, niektórzy robili salta.

– To wygląda jak świetna zabawa!

Instruktor po raz kolejny sprawdził uprząż, naciągnął paski, klamry. Przesuwali się w kierunku wyjścia.

Kamerzysta czekał na zewnątrznym stopniu samolotu, gotowy do skoku. Stanęli w drzwiach.

Spojrzała w dół. Nie czuła lęku wysokości, ziemia wyglądała jak na pocztówce. Serce biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

– Więc to jest moje być albo nie być. Taka będzie moja śmierć. Nie, właśnie że nie umrę!

Instruktor coś do niej mówił, ale niewiele do niej docierało.

Czy chcę fikołka na wyjściu? Nie zdążyła pomyśleć, a jej ciało było w powietrzu i robiło obrót.

Najpierw był „free fall” – lecieli bez otwartego spadochronu. Minęło kilka dobrych sekund zanim ‘odzyskała’ władzę nad swoim ciałem. Zaczęła sobie przypominać instruktaż:

– Kolana zgięte, ciało wygięte w łuk, tak, chyba tak to miało być.

Przed nimi był spadochroniarz z kamerą. Był bardzo blisko, wyciągnął do niej rękę, robił śmieszne miny. Zaczęła się śmiać, znaczy próbowała, pęd powietrza jej tego nie ułatwiał.

Jej istruktor też miał kamerę przyczepioną do nadgarstka.

Instruktor otworzył duży kolorowy spadochron. Pozwolił jej sterować, to znaczy pozwolił, żeby zrobiła samodzielnie powoli i ostrożnie dwa małe zakręty. Wylądowali miękko na trawie. Wiatr zaczął szarpać tkaninę i szybko podbiegli jacyś spadochroniarze, żeby pomóc.

Przepełniona radością, szczęśliwa, że żyje, bezwiednie uściskała instruktora. Czuła się jak bohater o super odwadze. Zadanie zaliczone, to tyle. Nigdy więcej.

Potem kupiła dla wszystkich skrzynkę piwa i czekała, aż przygotują wideo z jej lotu. Przysiadło się do niej dwóch spadochroniarzy z Hawajów. Próbowali ją postraszyć.

– Nie zawsze skok w tandemie jest bezpieczny.

Opowiedzieli o instruktorze hawajskim, który dostał zawału w czasie lotu. Był silny wiatr i zniósł tandem na morze. Jego pasażerka utonęła. Najczęściej tandemy są bezpieczne, bardzo rzadko zdarza się coś takiego. Ktoś jeszcze opowiedział o dziewczynie, która wysunęła się z uprzęży i zginęła twardo uderzając ziemię. Zaraz potem jakaś odważna kobieta kupiła skok w tandemie na swoje osiemdziesiąte urodziny i też wysunęła się z uprzęży w podobny sposób, ale instruktor zorientował się i w ostatniej chwili złapał ją za nogę. Jolka już by się nie wysunęła, bo po tych

wypadkach nakazano wszyć do uprzęży grubą taśmę w poprzek tej dziury, przez którą obie panie się wysunęły.

Wideo z jej skoku było gotowe. Oglądali wszyscy i czuła się cudownie.

Jakub dołączył do nich zaraz na początku filmu.

Były też piękne zdjęcia z jej skoku, oglądali wspólnie, a potem poprosili, żeby ktoś zrobił ich zdjęcie: Jolka i Jakub pod palmami. Pierwsze wspólne zdjęcie na Fejsbook. Co powiedzą ludzie, że oni są razem, przeleciało jej przez głowę, ale tyle się działo, że opinia ludzka mało się teraz liczyła. Na wszelki wypadek, zanim zdjęcia zostały zrobione, pobiegła z torebką do łazienki. Szybkim sprawnym ruchem wymodelowała włosy. Przeciągnęła usta pomadką.

Cycki, muszę poprawić cycki, one też muszą dobrze wyglądać! Ułożyła piersi w staniku, naciągnęła dekolt i wyszła.

***

Fot. krzysztofniewolny z Pixabay

Na złe dni, na świt, który trudno rozwiązać… Może kurs paralotniowy? Startuje się pod wiatr.

Ojciec Titki, jak tylko wyjęły bagaże z samochodu, włączył silnik, mocno dodał gazu i odjechał. Był spóźniony.

Instruktor Hubert stał przy swoim samochodzie zirytowany tym, że przyjechali tak późno.

– Pośpieszcie się dziewczyny, bo zaraz zrobi się ciemno – mruknął.

Titka wzruszyła ramionami i pobiegła gdzieś z telefonem.

Instruktor Hubert przypiął Jolce paralotnię. Rutyna, nerwowe, szybkie ruchy. Uniósł lekko skrzydło, ustawił do wiatru. W ostatniej chwili zapięła kask. To było za prędko. Nawet nie zdążyła zmienić butów. Miała na sobie eleganckie pantofle, które ślizgały się po śniegu. Ale to był dobry start. Pod wiatr, jak trzeba.

Poleciała wysoko. Skrzydło drżało, łapało turbulencje. Myślała, żeby dodać sobie odwagi, że to przecież szkolna paralotnia, taka do uczenia początkujących i że nic jej się nie stanie. Ręce w górze i nie bać się, przypominała sobie słowa Jakuba. Myślała o nim. Wcale się nie pogniewał. Chorował. Tak jak ona. Góry były piękne, ostre szczyty w oddali i zalesione zbocza tu blisko.

Spojrzała w dół. Jacyś ludzie podchodzili pod górę i patrzyli na nią. Chciała im pomachać, ale była tak wysoko, że nie mogliby tego zobaczyć.

Potem poczuła spokój i pomyślała, że niebo jest zawsze jakieś święte i błogosławione, niezależnie od religii, jaką się wyznaje.

Świerki były teraz ciemnozielone. Utraciły czapy śniegu. Była w niebie.

Przeleciała wysoko ponad polaną, na której planowała wylądować. Dopiero teraz zbliżała się do ziemi. Dalej był las. Przypomniała jej się ta część szkolenia, która mówiła o lądowaniu awaryjnym na drzewie.

Zobaczyła potok z piaszczystym brzegiem, pełnym małych kamyczków, z których

woda spłukała śnieg. Ostrożnie wykonywała manewry.

I kiedy już stała na ziemi, chciała śpiewać ze szczęścia.

Pantofle nie ślizgały się, gdy lądowała na piasku, ale po śniegu trudno było iść. Pamiętała kierunek – do góry i potem koniecznie w lewo.

Odpięła paralotnię i zarzuciła na jedno z niższych drzew. Jeśli będą jej szukać, prędzej wypatrzą kolorową paralotnię, niż ją gdzieś tam w lesie. Pod kolorową tkaniną tańczyły linki, jakby tysiąc pająków wyginało długie ramiona.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i zaczynało robić się zimno. Wiedziała, że musi iść. Nie wolno usiąść ani na chwilę, żeby nie zamarznąć.

Zdawało jej się, że widziała wilka skradającego się za drzewem. – Sen mara, Bóg wiara, powiedziała do siebie.

Pomoc nadeszła w postaci małego śmigłowca, który wylądował w tym samym strumieniu. Widocznie to było najlepsze miejsce do lądowania w tej okolicy. Wiatr, który zrobiło śmigło, uniósł paralotnię zawieszoną na drzewie. Dobry pilot, pomyślała. Nie wplątał się w linki, bo wtedy oboje potrzebowaliby pomocy.

Ze śmigłowca wyskoczył mężczyzna. To był Jakub. Co on tutaj robi?

Wilk wyszedł zza krzaka i zbliżał się w ich stronę.

– Tu są wilki. Uważaj.

– Nie bój się – powiedział Jakub. – To nie wilk. To pies mojej siostry.

Pogłaskał psa. Pomyślała, że ją też mógłby pogłaskać, albo coś bardziej po ludzku.

– Jesteś sama? – zapytał. – Na pewno zerwałaś z tym idiotą?

– Czy zawsze zaczynasz akcję ratunkową od takich pytań?

Danuta Błaszak, Fryzjerka. Na pokuszenie losu, wyd. Norbertinum 2021 r.

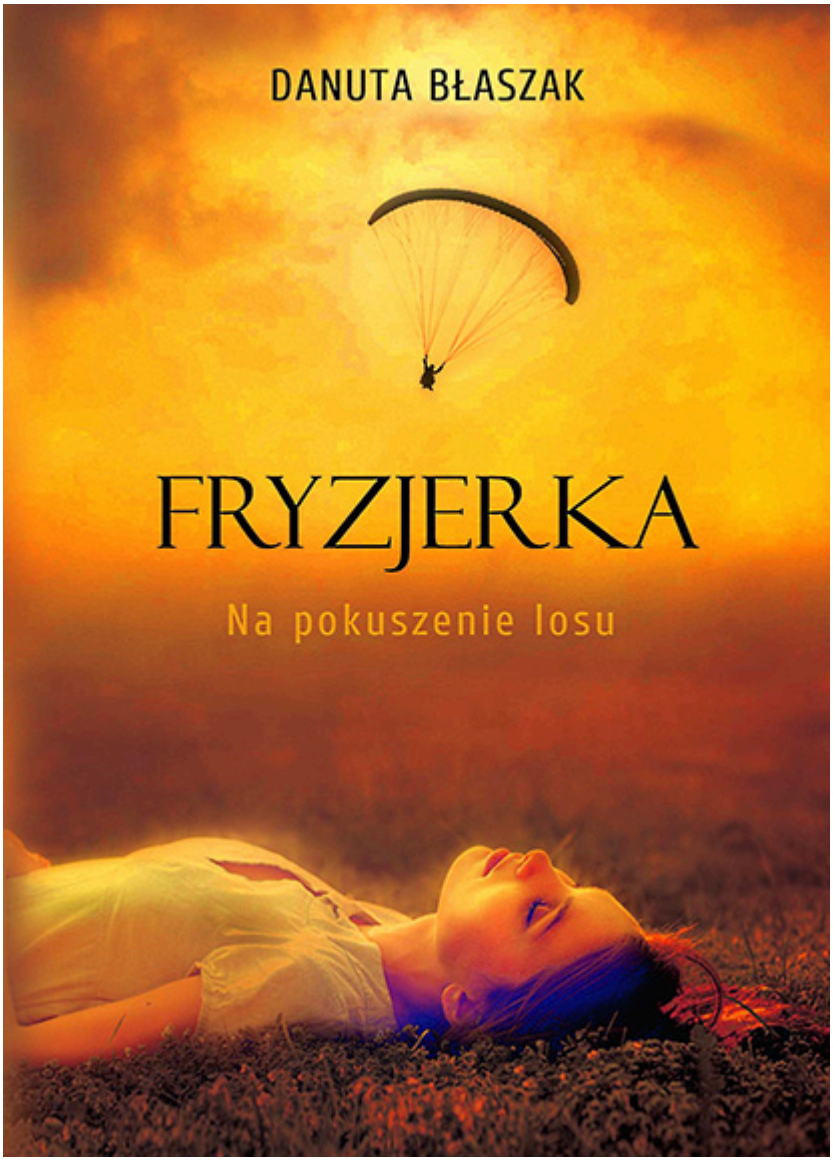

http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs

Recenzja:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

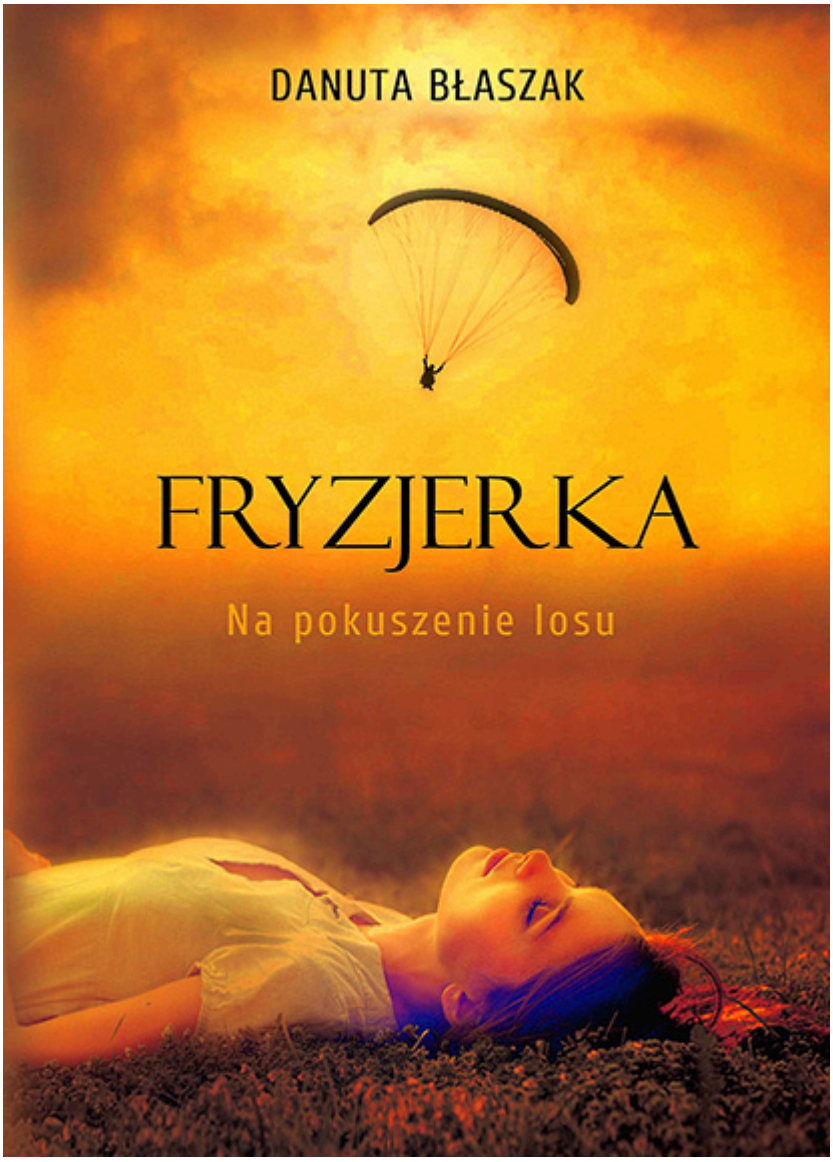

Zbigniew Mirosławski *(Tarnów)*

Powieść pt. *Fryzjerka*. *Na pokuszenie losu* Danuty Błaszak została wydana przez szacowną, lubelską Oficynę NORBERTINUM, działającą od 1989 r., a w ofercie reklamującą się m. in.: poezjami ks. Janusza Pasierba pt. *Blask cienia*, tomem pt. *Chmura*, o Leonie Zdzisławie Stroińskim pióra Hanny Zofii Etemadi czy książką Anny Marii Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*.

Do sięgnięcia po tę pozycję zachęcają nie tylko: nazwisko autorki, Danuty Błaszak, dziennikarki, edytorki, poetki, tłumaczki i działaczki polonijnej z Florydy, także piękne i staranne wydanie, szata graficzna według projektu Agnieszki Herman. Na okładce zamieszczono graficzną zapowiedź tego o czym przeczytamy: są to unosząca się w powietrzu paralotnia, leżąca na trawie, rozmarzona dziewczyna, szybująca wyobraźnią w przestworzach. Ciepłe, miodowe barwy.

Na stronie ostatniej *résumé*, z którego wyjmuję kilka zdań na temat głównej bohaterki, fryzjerki Joli. Brzmi banalnie, ale intryga wciąga niepostrzeżenie, bo narracja jest dynamiczna i ciekawa. Przeczytamy

> *Jolka zdecydowanie zmienia swoje życie. – Już nigdy nie wezmę pieniędzy od mężczyzny – deklaruje. Zrywa z kochankiem i dotychczasową rutyną. Odważnie wywraca wszystko do góry nogami.*

Faktycznie uzależnienie od żonatego Romualda, chorującej matki i faktycznych i „przyszywanych" ciotek, Stefy, Romy i Kwiety zdaje się tworzyć splątanie, trudne do odcięcia się od tych toksycznych związków. Relacja z koleżanką z pracy Michaliną jest ważna ale również podlega wahaniom, kiedy pojawiają się młodsze ubiegające się o pracę, Kasia i Mela.

Nie ujawniając zbytnio treści trzeba zauważyć zarysowanie wyraźnych charakterów i starszych i młodszych kobiet, w tym Titki i Kitki, także panów Huberta i Jakuba. Pewną rolę odgrywa również przypadkowy tzw. łut szczęścia, a konkretnie wygrane uczestnictwo w kursie paralotniarskim.

Niezbyt często w życiu spotykamy się z taką odwagą rzucenia się w nieznane. Przypuszczam, że lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż niekorzystne „układy" można zmienić. Liczy się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od codzienności.

Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię. Nawet kłopoty finansowe, wysoki kredyt mieszkaniowy do spłacania nie zatrzymają Joli w realizacji marzeń. Recenzent NORBERTINUM stawia pytania „…Czy wrażliwa, delikatna dziewczyna poradzi sobie z wyzwaniem, przed którym samą siebie postawiła? Czy będzie umiała zgodzić się na

miłość, jakiej dotąd nie znała?…”.

Oryginalną dygresją jest wspominanie przez autorkę, w imieniu swojej bohaterki Joli, znanych poetek: Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i… samej współpracującej z Danutą Błaszak poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman.

Innym aktualnym wątkiem jest nadchodząca i rozwijająca się pandemia. Refleksje na temat przebiegu zakażenia koronawirusem. Obecnie czyta się to inaczej niż miejmy nadzieję za parę lat. Kwestia ta jednak pozostanie rodzajem dokumentacji trudnych lat 2020 i 2021.

Dla zainteresowanych lataniem interesujące mogą stać się opisy kursu paralotniarskiego, zajęć z meteorologii, lotów helikopterem i skoków spadochronowych w tandemie i indywidualnie. Zwłaszcza tych na Florydzie nad Sebastian River, w Zephyrhills.

Warszawianka, Danuta Błaszak, wraz z rodziną wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, mieszka w Orlando. Pisze o tym na czym zna się bardzo dobrze. Sama jest pasjonatką latania, skoków na spadochronie, paralotniarstwa. Od wielu lat zajmuje się promocją polskiej kultury. Prowadzi literacką stronę **miasto literatów ++** i we współpracy ze wspominaną już dwukrotnie w tym tekście Anną Marią Mickiewicz z Londynu wydaje serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland*. Jest to seria dwujęzyczna, polsko-angielska. Trzeba wyrazić nadzieję, że pisarstwo Danuty Blaszak nadal będzie się rozwijać. Za sobą ma już publikacje w *Radarze* na łamach którego od 1986 r. pisała recenzje i informacje z plenerów literackich. Wydała tomiki: *Wiersze*, *Tereska ze smutnego raju* (1995); *Anegdoty liryczne* – tomik wydany przez NZS, NURT, w drugim obiegu, 1989. W dorobku posiada również książki reportażowe: *Plotki z Florydy* z przedmową Marka Kasza (WKMS 1993); *Seks przez telefon – wywiad z dziewczyną z* 0700” (IbiS); *Group Home Recollections* – Bianka B. Bird (Dreammee Little City 2014); *Notatnik z autyzmu* – o ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem (Dreammee Little City 2005); oraz tomiki wierszy, m. in.:. Otrzymała wiele nagród, medale i wyróżnienia.

Danuta Błaszak

Fryzjerka. Na pokuszenie losu

- Wydanie: pierwsze
- Miejsce i rok: Lublin, Norbertinum, 2021
- Objętość: 197, [2] s.
- Format: 147 x 208 mm
- Oprawa: miękka klejona
- ISBN: 978-83-7222-712-6

http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs

---

Zbigniew Mirosławski, redaktor Współczesnej Polskiej Poezji i periodyku – Magazyn Literacki, Aspiracje. Laureat ogólnopolskich nagród literackich.

Powieść Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa” po polsku

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.

„Konieczne kłamstwa” (*Necessary Lies*) to powieść o stracie osobistej i narodowej, o zdradzie i potrzebie przebaczenia, o najnowszej historii – wojennej i powojennej. Powieść o powrotach do korzeni, trudnych i bolesnych – ale koniecznych, jeśli przeszłość ma nie być tylko niepotrzebnym balastem, lecz stać się kluczem do poznania i zrozumienia nas samych. Jest to historia Wrocławia, miasta z niemiecką przeszłością i polską teraźniejszością oraz historia emigrantki znad Odry, która musi

się zmierzyć ze skomplikowaną przeszłością swojego miasta. To pierwsza powieść Ewy Stachniak, uznana za najlepszy debiut powieściowy Kanady roku 2000: nagroda Amazon.com/Books in Canada First Novel Award. Autorka pisze po angielsku, dzięki czemu jej niezwykle poczytne książki opowiadające polską historię z różnych epok, szeroko docierają do angielskojęzycznego czytelnika.

Na podstawie: www.ewastachniak.com

Ewa Stachniak, fot. ewastachniak.com

Rozmowa z pisarką Ewą Stachniak i tłumaczką Katarzyną Bogucką-Krenz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Polski czytelnik może już przeczytać po polsku powieść „Konieczne kłamstwa" nagrodzoną w 2000 roku przez Amazon.com/Books in Canada. Co to dla pani oznacza?

Ewa Stachniak:

Cieszę się, że książka ukazała się w Polsce i bardzo jestem ciekawa reakcji czytelników, recenzji, uwag. W powieści pisanej z pozycji emigracji, polski czytelnik zwróci uwagę na inne rzeczy niż czytelnik kanadyjski. „Konieczne kłamstwa" – na

jednym z poziomów narracji – są przecież zapisem wrażeń powrotu do kraju, po latach emigracji, tego pierwszego powrotu, pierwszych wrażeń wędrowca, który konfrontuje zapamiętane obrazy z rzeczywistością, wędrowca, który patrzy na Polskę z pozycji swoich kanadyjskich, emigracyjnych doświadczeń. Czytelnik polski zobaczy bohaterkę powieści, Annę Nowicką, podobnie jak nasze rodziny i przyjaciele widzieli nas w tych pierwszych latach wolności, emigrantów przyjeżdżających po latach do rodzinnego domu.

Ciekawi mnie też jak wypadnie konfrontacja mojej książki z innymi współczesnymi polskimi powieściami, czy literatura kanadyjska wpłynęła w zauważalnym stopniu na mój sposób pisania. Bo przecież język prowokuje różne skojarzenia.

Na czym polega odmienność polskiej wersji powieści w stosunku do angielskiego oryginału?

ES: W angielskiej wersji książka skierowana była do czytelnika, który o Polsce i jej historii ma mgliste pojęcie i któremu trzeba wpływ tej historii na polską rzeczywistość przybliżyć. Patrząc na Warszawę czy Wrocław w 1991 roku Anna widzi nie tylko teraźniejszość, ale także przeszłość tych miast, lata wojny, powstania, zgliszcza. We Wrocławiu widzi ślady niemieckiego Breslau, pamięta morze gruzów. Z takim bagażem jej spojrzenie na polskie realia jest zupełnie inne niż kogoś, kto o tej historii nie ma pojęcia. Zmiana perspektywy oznaczała cięcia i przekształcenia w tekście. Wiele fragmentów można było w polskim tekście pominąć, inne trzeba było przeredagować lub wręcz dopisać, by zachować autentyzm szczegółów i wiarygodność faktów. Kiedy cytuję fragment wrocławskiej ulotki z 1968 roku, którą Anna i Piotr trzymają w ręku, to chcę żeby to była jedna z autentycznych ulotek z Wrocławia, a nie np. z Warszawy. Angielskie słowo „communist” tłumaczy się inaczej w zależności do okresu historycznego w którym było użyte: w 1968 roku Piotr mówi o „partyjnych”, w 1881 roku Anna pamięta „komunistów”, a w 1991 roku jej brat używa słowa „komuch”. W wersji angielskiej rewolucję w Quebecu można było określić jednym zdaniem, polskiemu czytelnikowi trzeba było dodać kilka wyjaśnień. To były drobiazgi, choć oczywiście bardzo ważne. Problemem największym, ale i jednocześnie najbardziej ciekawym, stało się nadanie polskich głosów moim bohaterom.

Powieść rozpoczyna się w Montrealu, ale już po kilku zdaniach Anna wspomina swoją młodość, swój wyjazd z Wrocławia, pierwszą miłość – swoje polskie przeżycia. Kiedy pisałam te sceny po angielsku, polskie postacie musiały mówić językiem „opisowo-uniwersalnym", stworzonym dla nich w takim celu by czytelnik kanadyjski odczuł, że osoba, o której czyta, funkcjonuje w innym języku – czasami wtrącałam polskie słowa, by zachować koloryt głosów. W tłumaczeniu na język polski te zabiegi lingwistyczne straciły sens.

W budowaniu pełnych, polskich głosów najłatwiej było z postaciami, które w jakimś stopniu opierały się na wspomnieniach z przeszłości. „Słyszałam" jeszcze te głosy i mogłam zasugerować tłumaczce wybór konkretnych wyrażeń. Babcia Anny mówi językiem mojej babci, którego specyficzne wyrażenia towarzyszą mi od dzieciństwa. Wprawdzie babcia Anny i moja babcia to dwie różne osoby, ale ich język to głos tego samego pokolenia. Także rodzicom Anny mogłam częściowo użyczyć języka pokolenia moich rodziców.

Najwięcej kłopotu sprawił mi Piotr, pierwszy mąż Anny. W moim polskim kręgu doświadczeń nie pojawiła się postać z jego rodowodem, nie mogłam więc czerpać z pamięci. Piotr Nowicki pochodzi z Krakowa, jest prawnikiem, brał udział w marcowych wydarzeniach 1968 roku we Wrocławiu, trzeba było mu stworzyć język, który charakteryzowałby i jego i jego pokolenie. To było moje zadanie, nie mogłam go zrzucić na barki tłumaczki, nie mogłam powiedzieć – wymyśl głos dla Piotra. W rezultacie musiałam sceny z Piotrem prawie w całości przepisać, stworzyć na nowo jego polski głos opierając się na autentycznych historycznych materiałach z tego okresu, studenckich ulotkach, opisach marcowych wydarzeń we Wrocławiu. To była fascynująca przygoda językowa, w pełni spełniona w chwili gdy „usłyszałam" ten nowy głos Piotra.

Jak współpracowało się pani z tłumaczką?

ES: Doskonale. Przypuszczam, że tłumaczom rzadko zdarza się pracować z autorem, który zna język na tyle, by móc brać udział w procesie redakcji tekstu w takim stopniu, jak to było z nami. Z Katarzyną Bogucką-Krenz, tłumaczką powieści, zgodziłyśmy się już na samym początku pracy, że naszym celem będzie nie tylko wierne oddanie tekstu, ale stworzenie takiego tłumaczenia, które byłoby „moim,"

czyli najbardziej zbliżonym do polskiej wersji tej książki, jeśli miałabym taką napisać. Dla tłumaczki oznaczało to rezygnację, oczywiście tylko do pewnego stopnia, z autonomii, konieczność sprawdzania czy nasze językowe odczucia zgadzają się, i stałą gotowość do dyskusji nad tymi fragmentami, w których nasze odczucia gdzieś się rozmijały. Czasami dostawałam stronę, na której tłumaczone fragmenty tekstu pojawiały się w kilku wersjach, a ja miałam wybrać te najbardziej mi odpowiadające. W rezultacie każdy rozdział wędrował kilka razy między nami tak długo, aż obie byłyśmy zadowolone.

Praca nad tłumaczeniem była dla mnie bardzo ciekawa. Zdałam sobie ponownie sprawę z trudności, jakie napotyka polski tłumacz z języka angielskiego. Jedną z nich jest rytm zdania, jego wewnętrzna poezja. I tak na przykład rytmiczność w języku angielskim można uzyskać stosując powtórzenia słów, sylab, czy wręcz poszczególnych dźwięków. Przykładem może tu być to oto zdanie z pierwszej części mojej książki, opis powojennego Wrocławia: *A sea of ruins, surrounding small islands of still-standing buildings*, którego rytm opiera się na aliteracji. Podobny zabieg w języku polskim może przynieść taki „efekt poetycki" jak zdanie: *polska policja poszukuje pięciu panów*… Tekst poetycki, który po angielsku brzmi rytmicznie i naturalnie, w polskim bezpośrednim tłumaczeniu po prostu kuleje. Powodów może być wiele. Tradycyjna, staroangielska poezja oparta była właśnie na aliteracji, czyli powtórzeniu dźwięków; w polskiej poezji natomiast spoiwem był głównie rym. W rezultacie, aby uzyskać podobny efekt poetycki, który ja w wersji angielskiej uzyskiwałam poprzez powtórzenia, Kasia Krenz musiała uzyskać zupełnie innymi metodami, czerpiąc ze swoich zasobów poetyckich.

Jak pani poznała tłumaczkę, Katarzynę Bogucką-Krenz?

ES: Przez jej siostrę, Ewę Ślaskę, polską pisarkę i tłumaczkę, która od wielu lat mieszka w Berlinie i aktywnie działa na pograniczu literatury polsko-niemieckiej, organizuje warsztaty literackie, prowadzi pismo „Wir" itd.. Podczas jednego z pobytów w Berlinie, gdzie zbierałam materiały do mojej drugiej powieści, poznałam Ewę. Ona z kolei podarowała egzemplarz *Necessary Lies* swojej siostrze Katarzynie mieszkającej w Gdańsku. Katarzyna Bogucka-Krenz, jest nie tylko tłumaczką z języka angielskiego, jest też poetką i malarką. Poza tym jesteśmy w podobnym wieku, więc łączy nas język naszego pokolenia…

Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, 2004.

Co pani myśli na temat okładki polskiej wersji powieści?

ES: Bardzo mi się podoba. Jest graficznie prosta, ale bogata w znaczenia. Pocięte nożyczkami nuty sugerują Wiliama i linię melodyczną jego partytur, a także przerwane wątki życia wielu bohaterów książki, cięcie między nowym życiem i starym życiem, między Polską i Kanadą itd. Mogą także sugerować przecięcie spokoju i błogich wspomnień bohaterki, Anny Nowickiej, o człowieku, który krył w sobie tak bolesne dla niej tajemnice.

Ale książka już skończona, wydana. Teraz werdykt należy tylko i wyłącznie do czytelnika.

Katarzyna Bogucka-Krenz

Czym jest dla pani przekład literacki?

Katarzyna Bogucka-Krenz:

Przez lata wypracowałam sobie własną metodę przekładu, która opiera się na przekonaniu, że sama wiedza nie wystarczy do tego, żeby zostać dobrym tłumaczem literatury. Oczywiście, trzeba mieć warsztat, tj. dobrą znajomość języka obcego oraz spore umiejętności posługiwania się mową ojczystą. Pod tym względem jest to praca niejako „usługowa”. Ale do dobrego tłumaczenia potrzeba jeszcze dwóch rzeczy. Po pierwsze, swego rodzaju pozawerbalnego wyczucia, zdolności niemal telepatycznego porozumienia się z autorem. Będąc przekaźnikiem nie swojej myśli, tłumacz spełnia rolę medium, jest pośrednikiem, który pomaga autorowi zaistnieć w innym języku,

sam przez cały czas, jak sufler w teatrze, pozostając w cieniu.

Po drugie, tłumacz lepiej rozumie swoje zadanie, jeśli sam jest pisarzem czy, jak w moim przypadku, poetą. Każdą historię można opowiedzieć na sto sposobów. Tłumacz musi sobie nieustannie zadawać pytanie, nie jak on by ją opowiedział, tylko jak zrobiłby to autor, gdyby znał jego język. Które słowo by wybrał? A przecież autor chce ode mnie nie tylko moich słów. On liczy na to, że w moim języku odtworzę i odwzoruję cały jego świat, wyłowię jego ducha, oddam to „coś", co często jest trudne do uchwycenia – aurę, emocję, nastrój.

Czasem żartuję, że najlepszą metodą jest tłumaczenie „z zamkniętymi oczami", gdyż dopiero wówczas potrafię wsłuchać się w głos wewnętrzny tłumaczonego pisarza, oddać to wszystko, co decyduje o jego stylu i sile.

Prosze opowiedzieć o pracy nad tłumaczeniem?

KBK: Do pracy podchodzę zawsze bardzo osobiście i że tak powiem namacalnie: na kilka miesięcy wyprowadzam się z własnego świata i przenoszę do innego. To trochę jak gra w filmie. Jestem ze wszystkimi bohaterami naraz i każdym z osobna. Początkowo nic jeszcze na to nie wskazuje, po prostu tłumaczę słowo za słowem, zdanie po zdaniu. Ciężka, żmudna, czasochłonna praca. Nie zastanawiam się, pędzę przed siebie, mijam kolejne stronice, jakbym jechała pociągiem, przyglądając się przez okno mijanym obrazom. Na tym etapie jeszcze nie podejmuję decyzji, nie dokonuję wyborów, nawet nie słyszę właściwego tonu. Zostawiam znaki zapytania, zapisuję po kilka wersji, wiem, że na decyzje będzie czas później. Nim jednak to nastąpi, przechodzi czas prób i przymiarek, kiedy wciąż nie do końca jestem pewna, w jaki sposób ja bym się wyraziła w danej sytuacji, gdybym była, na przykład, profesorem literatury, skrzypaczką, rybakiem dalekomorskim czy kelnerką w restauracji, a ściślej: jakbym to wyraziła po polsku, zważywszy na czas i miejsce, wiek, wiedzę i filozofię życiową danej postaci, i co najważniejsze – styl autora. A potem pewnego dnia okazuje się, że wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. I kiedy czytając przestaję myśleć o słowach, a zaczynam „słyszeć głosy", wtedy wiem, że to już – mogę tekst odesłać do wydawcy.

Czy tłumacz musi się związać z bohaterami, poznać ich osobowość i odczucia, żeby oddać ducha czasu i miejsca, w którym żyli?

KBK: Chyba nie da się inaczej. Ja w każdym razie nieodmiennie przywiązuję się do moich autorów i ich książek. W końcu przebywam z nimi codziennie po wiele godzin, i to przez długie miesiące. Staję się jakby matką zastępczą, która musi wybrać dla nich odpowiednie słowa, i jeszcze zrobić to tak, by czytelnik nic nie zauważył, by miał wrażenie, że tekst powstał od razu w jego języku. Dlatego czuję o wiele większą odpowiedzialność tłumacząc czyjś tekst niż pisząc własny.

Tak więc odpowiedź na pani pytanie jest nie tylko twierdząca – tak, przywiązuję się i zaprzyjaźniam z bohaterami, a potem trudno mi się z nimi rozstać. Ja powiedziałabym nawet więcej: uważam, że jest to warunek *sine qua non* dobrego tłumaczenia.

Jakie problemy napotkała pani podczas pracy nad książką Ewy Stachniak? Czy tym razem była to trudna praca?

KBK: Każde tłumaczenie niesie z sobą innego rodzaju trudności. Gdy w jednej powieści problem stanowić będą bardzo rozbudowane, wielokrotnie złożone zdania, w innej pułapką może się okazać pozorna prostota. Poza tym jest oczywiste, że tłumacz nie może się znać na wszystkim. Będzie, na przykład, znawcą białej broni, teatru czy roślin tropikalnych, a niewiele będzie wiedział o historii Wrocławia, muzyce czy… pozytywkach (tu wyznaję zasadę, że oprócz lektury fachowej, do której należy się odwołać, trzeba też docierać do ludzi z danej branży i pytać, pytać i jeszcze raz pytać).

W przypadku „Koniecznych kłamstw” największa trudność kryła się w… polskości. Dlaczego? Ponieważ historia opowiedziana w tej książce znana jest polskim czytelnikom z ich własnego doświadczenia. Dla wielu z nich będzie to opowieść o nich samych. Przeżyli wypadki marcowe ‘68, przeszli represje, przesłuchania, relegowanie z uczelni. Pamiętają Sierpień ’80 i stan wojenny, kartki na mięso i oddziały zomowców na ulicy. Wielu doświadczyło rozstania z bliskimi, którzy z różnych powodów zmuszeni byli wyemigrować z Polski. Wielu też w wyniku wojennej zawieruchy zmuszonych było zamieszkać na Ziemiach Odzyskanych, by odtąd w codziennym życiu mieć do czynienia z tak zwaną „sprawą polsko-niemiecką” (co ciekawe, Ewa Stachniak urodziła się we Wrocławiu, a ja w Gdańsku, a więc w miastach, które po wojnie, jak to się kiedyś mówiło, powróciły do macierzy).

Wiadomo, że wokół każdej epoki czy wydarzenia historycznego tworzy się otoczka językowa, na którą składają się nie tylko słowa-informacje, ale też swoiste słowa-klucze, charakterystyczne zwroty, skróty myślowe, idiomy i powiedzonka. Znane wszystkim, zrozumiałe, oczywiste. Powieść Ewy Stachniak obejmuje czas trzech pokoleń. Wspólnie z autorką musiałyśmy ją napisać po polsku w taki sposób, by czytelnicy z każdego pokolenia mogli powiedzieć: tak, tak właśnie było!

Jak przebiegała pani współpraca z autorką?

KBK: Przystępując do pracy nad tłumaczeniem mamy przeważnie do czynienia z sytuacją, w której – paradoksalnie – świat przedstawiony mówi, podczas gdy sam autor milczy. Moim zadaniem jako tłumacza jest domyślić się, czego chce ode mnie pisarz. Tym razem nie musiałam zamykać oczu ani szukać drogi, odwołując się do telepatii. Po raz pierwszy znalazłam się w komfortowej sytuacji: w każdej chwili mogłam zapytać, co autorka chciała powiedzieć pisząc dane zdanie, a następnie, czy to, co ujrzała w moim tłumaczeniu, zgadza się z jej intencją. Można powiedzieć: wymarzone warunki pracy.

A mimo to, choć pewnie trudno w to uwierzyć, w pierwszym odruchu przestraszyłam się! Czego? Tego, że nie będę umiała stać się „głosem" autorki, że nie sprostam jej oczekiwaniom. Nie usłyszę jej! W praktyce ten bezpośredni kontakt (no, może pośredni, bo via internet i telefon) okazał się dodatkowym walorem pracy, fascynującą grą intelektualno-detektywistyczną, fantastycznym doświadczeniem.

Początkowo pracowałam sama, co, jak się domyślam, wystawiło autorkę na niemałą próbę cierpliwości. Ale najpierw musiałam zostać sam na sam z jej książką, „poczuć" ją, niczym się nie sugerując. Dopiero potem byłam gotowa do rozmowy. Mogłam dyskutować, spierać się o słowa, próbować dziesięciu wersji jednego zdania, szukając tej właściwej. Trochę to przypominało zabawę w ciepło-zimno: ja wędrowałam przez labirynt, podczas gdy autorka pisała zza oceanu: krok w lewo, dwa kroki w prawo. A wszystko po to, by w ostatecznym rozrachunku to ona mogła zdobyć absolutną pewność, że przemówiłam jej głosem. Mam nadzieję, że tak się stało, że Ewa Stachniak czytając swoją powieść w moim tłumaczeniu, zapomina o mnie, a słyszy – siebie.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym" – dodatku do dziennika „Gazeta" w

Toronto w grudniu 2004 r.

Fragment powieści:

https://www.cultureave.com/konieczne-klamstwa-fragm/

Recenzja:

https://www.cultureave.com/miedzy-wiernoscia-a-zdrada/